

ANDRZEJ WAJDA
JAN HARTMAN
SEWERYN BLUMSZTAJN
MAREK RACZKOWSKI
KAMIL DURCZOK
WŁADYSŁAW BARTOSZEWSKI
MACIEJ STUHR
KAZIMIERA SZCZUKA
KS. ADAM BONIECKI
DANIEL OLBRYCHSKI
JERZY BACZYŃSKI
MAGDALENA ŚRODA
PIOTR PACEWICZ
KAZIMIERZ KUTZ
TOMASZ JACYKÓW
PAWEŁ WRÓŃSKI
JAKUB WOJEWÓDZKI
KAROLINA KORWIN-PIOTROWSKA
OCZYWIŚCIE TOMASZ LIS

I INNI



Alfabet

SALONU

KRZYSZTOF FEUSETTE



Alfabet SALONU

[Kup książkę](#)

Alfabet

SALONU

KRZYSZTOF FEUSETTE

FRONDA

[Kup książkę](#)

Okladka
Anna Kierzkowska

Redaktor prowadzący
Bartłomiej Zborski

Redakcja i korekta
Małgorzata Terlikowska

Skład i łamanie
TEKST PROJEKT Łódź

Copyright © Krzysztof Feusette. All Rights reserved.
Copyright © by Fronda PL, Sp. z o.o.

ISBN 978-83-64095-39-9

Wydawca
Frona PL, Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
Tel. 22 836 54 44, 877 37 35
Fax. 22 877 37 34

e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwofrona.pl
www.facebook.com/FronaWydawnictwo

[Kup książkę](#)

Marcie

Od Autora

Lepiej pewne rzeczy utrwalić, zanim znikną. Byłem kiedyś w „Rzeczpospolitej” szefem portalu „W sieci opinii”, w którym zebraliśmy masę kapitalnie dokumentujących polską politykę cytatów, opowieści i komentarzy. Wszystko zatoneło w odmętach Internetu wraz z nastaniem w redakcji Grzegorza Hajdarowicza. Zniszczono archiwa, rozbito portal, pograżono „Rzepę”, amputowano wszystko, co decydowało o sile „Uważam Rze”. Tak trafiłem do tygodnika „w Sieci”.

Nie interesują mnie życiorysy czy poglądy rodziców opisywanych tu osób, a wyłącznie to, co ludzie ci robią i będą robili z polską demokracją oraz jej IV władzą. Czy dadzą się całkiem wessać w aparat partyjnej młócki? Czy już dali? Ilu z nich? Niektórzy szczerze się nienawidzą. Michał Ogórek drwił z białaczki Adama „Nergala” Darskiego, Jakub Wojewódzki opluwał się z Tomaszem Lisem, Lis z Moniką Olejnik, ale przecież łączy ich naprawdę wiele. Na przykład – nie cierpią niepokornych dziennikarzy. Dlaczego? O tym właśnie jest *Alfabet salonu*.

Krzysztof Feusette

fol. PAP/Paweł Supernak



Myszka z Wiejskiej

ADAMEK AGATA



A któż to jest – zapyta wielu z Państwa. Odpowiadam – dziennikarka-symbol naszych czasów, idealnie wtapiająca się w tłum mainstreamu, precyzyjna jak przekazy dnia, ale i chaotyczna, jak politycy próbujący je powtarzać. Pilnująca, by w swoich telewizyjnych relacjach nie wychylić się za bardzo, bo lepsi w te klocki gotowi pomyśleć, że wymarzyła sobie coś więcej niż sejmowe meldunki dla kanału TVN24. Ale przecież i sama mocno wyczulona na to, co za plecami. Czy nie wyłoni się tam jakaś młodsza, bardziej utalentowana w dziedzinie dyskretnego zadowolenia partii rządzącej? Albo młodszy, ładniejszy (choć przecież z cech zewnętrznych niczego red. Adamek nie brakuje) i bardziej zdecydowany, by w przekazie najważniejszych treści, a także najświeższych relacjach z politycznego frontu pójść jeszcze dalej i jeszcze mocniej nazwać rzeczy po imieniu? Tak jak nazywa się je na TVN-owskich kolegiach,

w TVN-owskich bufetach i na TVN-owskich garden party. I powie ten ktoś prostu z mostu, przed kamerą i na żywo: „A teraz moim rozmówcą będzie znakomity człowiek, piękny poseł i cudowny polityk, pan Ygrek Iksiński z Platformy Obywatelskiej” albo „A teraz moim rozmówcą będzie debilny kretyn, nawiedzony idiota i wariat paranoik, pan Ygrek Iksiński z Prawa i Sprawiedliwości”.

No, ale tak powiedzieć nie można, bo oglądalność jednak szybciej spadnie niż wzrośnie. Wszak nie od tego są programy informacyjne TVN, by ludziom między oczy walić kawa na ławę, że jedna partia jest dobra i mądra, a druga zła i niemądra, ale by robić to umiejętnie. Dyskretnie. Łyżką raczej niż wiadrem. Subtelnym akcentem, sformułowaniem zdania, szykiem wyrazów, wymownym spojrzeniem, znaczącą pauzą, nazwaniem rzeczy ostrzej (w przypadku opozycji) lub łagodniej (w przypadku władzy), a czasem po prostu – zwyczajnym wyborem tematu, w jakim podsuwa się mikrofon paniom i panom z ulicy Wiejskiej.

I w tym właśnie red. Adamek jest naprawdę dobra. Niczym szara mysz nakręcana na kluczyk, by gryźć serek wyłącznie z prawej strony, każdą w nim dziurę interpretując jako winę opozycji, każdy kawałek pyszniutki wpisując na listę sukcesów władzy sery rozdającej. Ktoś powie, jest takich więcej, a ona akurat niczym szczególnym na tle drugiego garnituru dziennikarzy oddanych umacnianiu władzy platformersko-ludowej się nie wyróżnia. A ja Państwu mówię – właśnie to ją wyróżnia, że się nie wyróżnia, swoje robi, a gdyby ją zapytać, czy zdaje sobie sprawę, jak bardzo, mimo zabiegów maskujących, widać jej oddanie koalicji rządzącej, zrobiłaby zapewne to, co zawsze, gdy trzeba udać zdziwienie. Wielkie oooczy! Bo też – i nią, i wszystkimi tego rodzaju „szarymi myszkami” mainstreamu kieruje to właśnie uczucie, które zgodnie z przysłowiem wielkie oczy wywołuje. Strach. Czasem przed utratą pracy, a czasem naprawdę przed zmianą władzy, która przyjdzie, zabierze kamerę i mikrofon, a potem każe się pakować, jak każda nowa władza wszystkim tym, którzy od-

dali się wcześniej we władanie przeciwnikom politycznym. Strach budzi nienawiść, nienawiść rodzi strach. A przecież wystarczyłoby czasem się otrząsnąć i raz na dwadzieścia materiałów zadać władzy naprawdę trudne pytanie, a opozycji chociaż raz nie obarczyć odpowiedzialnością za fatalny stan tych elementów państwa, na które od siedmiu lat nie ma żadnego wpływu.

Wiem, na miejsce Agaty Adamek znalazłby się natychmiast jakiś Adam Agatowski, by oddać się tym samym procederom z jeszcze większą pasją i zaangażowaniem. W chorym organizmie, jakim będzie każda prorządowa telewizja uwiązana z władzą siecią powiązań towarzyskich, biznesowych, politycznych, sądowych i Bóg wie jakich jeszcze, nie ma miejsca dla ludzi, którzy potrafią w tym ślepych marzu choć na chwilę przystanąć.

Tyle że to tylko część prawdy. Są na okrętach TVN, nieprzypadkowo zwanej Tusk Vision Network, dziennikarze czy prezenterzy, którym udało się uniknąć prorządowego ostemplowania, przy śmietniku czy w jeszcze bardziej romantycznym miejscu. Redaktor Adamek, choć stempla owego stara się nie eksponować aż tak mocno jak jej bardziej dla władzy zasłużone koleżanki, to jednak wątpliwości być nie może – doskonale wie, gdzie leżą w polskich mediach konfiturki. To dlatego tak często w odpowiedzi na jej właśnie pytanie, usłyszymy, że „opozycja działa na szkodę Polski”. I to jej w grudniu 2013 roku przydarzyła się przykra (dla opozycji, nie dla niej) wpadka, gdy stwierdziła, że podczas przyjmowania przez Sejm uchwały dotyczącej wspierania przez Polskę nowego rządu na Ukrainie „prezes PiS Jarosław Kaczyński nie wystąpił w Sejmie, nie było go podczas przyjmowania uchwały przez akłamację”. Widzowie pękali ze śmiechu, bo Kaczyńskiego było widać na sali sejmowej nawet na obrazkach pokazywanych w tym samym czasie przez stację Adamek. Ona sama z przyznaniem się do „błędu” zwlekała dwie godziny. „Wbrew temu, co mówiłam o przyjmowaniu uchwały przez akłamację, był obecny Jarosław Kaczyński”. Krótko mówiąc – chyba ją poniosło.

I pomyśleć, że już dwa lata wcześniej, będąc młodą bohaterką spotkania z cyklu „Droga do sukcesu”, realizowanego przez Bibliotekę Szkolną i uczniów Zespołu Szkół Społecznych im. Unii Europejskiej w Zamościu, jako słynna absolwentka tejże placówki, mówiła: „Dziennikarstwa nie można traktować czysto teoretycznie. Podczas zajęć na studiach nie możemy sprawdzić się, czy nadajemy się do pracy w zawodzie, czy nie”.

W przypadku Adamek i jej zaangażowania się „podczas pracy w zawodzie” w umacnianie władzy PO-PSL wymowną puentą może stać się zdanie, które pozostaje jej najszerzej komentowaną w Internecie wypowiedzią. „Zaraz się wyjeb... wyjebie!” – rzuciła kiedyś przed kamerą, nie wiedząc, że ta jest włączona. Kiedy zaś tuż po wylosowaniu numerów list wyborczych jedna z posłanek PiS żartem stwierdziła, że „cztery” to po angielsku „four”, które z kolei brzmi jak „for” (dla), więc można ukuć hasło „PiS 4 You!”, red. Adamek natychmiast dodała, że PO ma liczbę 8, czyli... 2 razy „4 You”!

Nie trzeba dodawać, że swój greps powtarzała w każdym antenowym wejściu. Jak widać, pewnym dziennikarkom nie trzeba już nawet przysyłać przekazów dnia, żeby wiedziały, co mówić, by władzy, ich władzy, było naprawdę dobrze.

fot. PAP/Grzegorz Jakubowski

Trener
koordynator

BACZYŃSKI JERZY



Od dwudziestu lat redaktor naczelny, dziś także prezes, a nieoficjalnie ojciec, ojciec chrzestny i „Ojciec, prac?” tygodnika „Polityka”. W PRL-u była to wielka kuźnia dziennikarstwa wentylacyjnego, z takimi gwiazdami jak Daniel Passent, świeckiej pamięci Mieczysław Rakowski czy wciąż aktywny medialnie żywy przykład na ponadczasowość *Folwarku zwierzęcego*, rzeźnik prasowy ponurej, mordującej studentów, robotników i księży komuny – Jerzy Urban. Dziś „Polityka” pozostaje najczęściej kupowanym tygodnikiem opinii w Polsce, a sam red. Baczyński zbiera hołdy i pokłony z lewej strony sceny politycznej, choć nie tylko. Wszak jedną z największych gwiazd jego mainstreamowego dream teamu pozostaje Pandora lewicy, autorka *Puszki Paradowskiej* (patrz: Paradowska Janina), która jednocześnie, według niesprawdzonych zeznań Janusza Palikota, jest także „ulubioną dziennikarką” premiera Tuska.

Największym jednak i najbardziej prestiżowym sukcesem Baczyńskiego pozostanie prawdopodobnie już zawsze tytuł „Dziennikarza 20-lecia” przyznany mu przez kapitułę Nagrody im. Andrzeja Woyciechowskiego w 2010 roku. Na drugim miejscu uplasowali się wtedy *ex aequo* Adam Michnik (patrz: Michnik Adam) i Jacek Żakowski (patrz: Żakowski Jacek).

Co ciekawe, po wprowadzeniu stanu wojennego Baczyński stracił pracę w „Życiu Warszawy” i wyjechał do Francji, gdzie działał później, jak czytamy w Wikipedii, w paryskim Komitecie koordynacyjnym „Solidarności”. Kiedy w 2008 roku tygodnik „Wprost” napisał, że w lipcu 1981 roku został zarejestrowany przez SB jako kontakt operacyjny „Bogusław”, naczelny „Polityki” nazwał to „manipulacją” i stanowczo zaprzeczył. A potem opowiadał, że, owszem, przed wyjazdem do Francji został wezwany na rozmowę, podczas której dwóch panów tłumaczyło mu, by uważał na próby werbunku przez zagraniczne służby.

W Paryżu spotykał się z dawnym kolegą ze studiów, który dopiero po trzech miesiącach zdradził mu, iż jest oficerem wywiadu. Wspominam o tym, bo sprawa była głośna, a nie dlatego, by w przeszłości Baczyńskiego doszukiwać się źródeł jego dzisiejszych postaw. Na przykład skrajnej, choć zwyczajowej w dziennikarskim salonie hipokryzji. „My Czytelników na żadną wojnę nie prowadzimy. Jesteśmy jedynie zawodowym doradcą do spraw świata. Być może należymy już do ginącego gatunku. Ale nie chcemy, żeby świat szedł w stronę konfliktu silnych tożsamości – narodowych, religijnych, politycznych, kastowych” – mówił w 2013 roku bratniej „Gazecie Wyborczej”. By już po chwili w tym samym wywiadzie dać próbkę możliwości owego „zawodowego doradztwa” i „nie prowadzenia na wojnę”. „Gdy czytam kolejne tytuły pism prawicowych, to widzę, jakie tam są odprawiane czarne msze. To jest rodzaj liturgii, bo wraca co tydzień w tej samej postaci. (...) To klasyczne seanse nienawiści mające silnie związać grupę wyznawców. (...) Jest tam męczennik, prorok, są apo-

stołowie, własne księgi, biskupi i kaznodzieje, a na końcu lud boży. Mają nawet procesje, odpusty, relikwie”.

Trudno się dziwić, że o książce *Resortowe dzieci* red. Baczyński miał do powiedzenia w zasadzie tylko tyle, że „nie ma tam żadnej prawdziwej opowieści, czym był PRL, jakie dylematy mieli zwłaszcza ci, którzy byli aktywni, utalentowani i ambitni”. Można się wzruszyć, ale można też uznać, że całkiem dużo w kwestii autentycznych dokonań „Dziennikarza 20-lecia” po tych właśnie tłumaczeniach stało się jeszcze jaśniejszych.



Ryczący bawół

BARTOSZEWSKI WŁADYSŁAW



Jednoosobowa Rada Starszych państwa polskiego, bohater narodowy o narodzie tym potrafiący powiedzieć tyle, że straszniejszy był podczas hitlerowskiej okupacji nawet od samych Niemców. „Mieszkałem w domu pełnym inteligencji przy ul. Mickiewicza 37, na II piętrze. Ale jeśli ktoś się bał, to nie Niemców. Jeżeli niemiecki oficer zobaczył mnie na ulicy i nie otrzymał rozkazu aresztowania mnie, nie miałem się czego bać. Ale gdy polski sąsiad, który zauważył, że kupiłem więcej chleba, niż zwykle – musiałem się bać” – opowiadał 26 lutego 2011 roku niemieckiemu „Die Welt”. Ale Polskę już wcześniej nazywał „panną, która nie jest piękna i posażna”.

Polityk, dziennikarz, pisarz, historyk, więzień Auschwitz, żołnierz Armii Krajowej, działacz Polskiego Państwa Podziemnego, uczestnik Powstania Warszawskiego. Dwukrotnie minister spraw za-

granicznych, Kawaler Orderu Orła Białego, sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w rządzie Donalda Tuska. Rewanżował się za te splendory wielokrotnie, nazywając pisowski elektorat „bydłem” czy drwiąc z tragedii bliskich ofiar katastrofy smoleńskiej. „Jeśli Jarosław Kaczyński – a w ostatnich dniach już to się rozpoczęło – będzie wykorzystywał wielką stratę, jakiej doznał, jako argumentu wyborczego, wówczas będę musiał powiedzieć: jestem zarówno przeciwko pedofilii, jak i nekrofilii każdego rodzaju” – mówił w niecały miesiąc po Smoleńsku, w maju 2010 roku na antenie TVN24.

Kilka lat wcześniej przekonywał: „Pracuję piórem już prawie sześćdziesiąt pięć lat. Napisałem sporo rzeczy lepszych i gorszych, ale źródłem prawdziwej satysfakcji jest dla mnie, że nie muszę się niczego, co napisałem, wstydzić, albo marzyć, aby zapadło się pod ziemię”. Gorzej, że pisanie nieomal zarzucił, a zaczął przemawiać – na wiecach i w telewizyjnych studiach. Podczas jednego z wywiadów, jakich udzielił Justynie Pochanke (patrz: Pochanke Justyna), wrzeszczał tak głośno, że bidulka bała się otworzyć usta. Tematem byli oczywiście bracia Kaczyńscy. „W 24 pierwszych godzinach żałoby chciało się być prezydentem!” – ryczał, jakby go odzierano z majątku. A pewności, że tak się nie stanie, nie ma chyba żadnej, bo Polakom po prostu nie ufa, Polaków się boi i Polaków nie lubi. Kilka kolejnych zdań Wielkiego Autorytetu o rodakach: „Podejrzliwość, kłótniowość, nienawiść, kompleksy, brak pewności siebie. Aby jeden drugiemu mógł «dojechać» dobrze, gotów jest popełnić samobójstwo”.

Kiedy się pomyśli, że był doradcą polskiego rządu do spraw zagranicznych, włosy dęba stają. Po aneksji Krymu przez Rosję udzielił wywiadu prasie niemieckiej, w którym przekonywał: „Wierzę w Putina, może bardziej, niż wielu innych. Doceniam jego mądrość i jego przewidywalność. (...) Siedem lat siedziałem w komunistycznym więzieniu, nie u Rosjan, ale w domu, w Polsce”.

Podczas ostatniej kampanii wyborczej do Parlamentu Europejskiego w spotach Platformy wycelowywał w widzów palec, dudniąc:

„Polska nie jest nazwą na mapie, Polska jest Tobą!”. Na pytanie, „skąd bierze tyle energii”, krzyczy, że „jego wrogowie nie zasłużyli na nic lepszego!”. Potwierdza się stara prawda z piosenki Starszych Panów: wesołe jest życie staruszka, gdy świat doń się śmieje „ha ha”. Znacznie gorzej, gdy śmieje się z niego.

Czasem jednak śmiech zastyga w gardle. Jak wtedy, gdy wyszło na jaw, że Bartoszewski miał być przeciwny przyznaniu pośmiertnie Orderu Orła Białego rotmistrzowi Witoldowi Pileckiemu, jednemu z największych polskich bohaterów II wojny światowej, który m.in. dobrowolnie trafił do Auschwitz, by organizować w obozie ruch oporu. Zdaniem specjalisty od bydła, który jak wspominają historycy – w tajemniczych okolicznościach opuścił Auschwitz po siedmiu miesiącach, na order jednak bohaterski rotmistrz nie zasłużył. Tylko tyle i aż tyle. Ręka w górę, kto nadal uważa, że nazwanie go „pastuchem” zasługuje na karę śmierci?



Ateista gawędziarz

BARTOŚ TADEUSZ



Autorytet „Gazety Wyborczej” w dziedzinie Kościoła, wiary, życia księży, Pisma Świętego, symboli religijnych i wartości chrześcijańskich. Wszystko dlatego, że opuścił Kościół, zrzucił sutannę, a dziś chłoszcze dawnych przyjaciół biczem gorącym niby ognie piekielne. Wstąpił do zakonu dominikańskiego w 1987 roku, święcenia kapłańskie przyjął sześć lat później. W 2007 opuścił Zakon Kaznodziejski i otrzymał stopień doktora habilitowanego w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Został wtedy także (do 2009 roku) jurorem przyznawanej przez „GW” Nagrody Literackiej Nike.

Już rok później polemizował z Janem Pawłem II w swojej książce *Jan Paweł II. Analiza krytyczna*. Potem przyszedł czas na innych wyznawców tej strasznej religii, którą chciał krzewić, zanim się sam w sobie nie zakochał na zabój. Matka Teresa to dla niego osobowość

o „duchowości narcystycznej i perwersyjnej”, a stworzone przez nią zgromadzenie pomagające ciężko chorym i biednym „ma cechy sekty”. „Zachwyt nad cierpieniem, bólem, wpatrywanie się w brud, nędzę, umieranie i dostrzeganie w tym Jezusa to specyficzna duchowość. To było atrakcyjne, Jan Paweł II brał to bez zastrzeżeń. Te siostry nie pomagały chorym i umierającym. Miały tylko być, modlić się, asystować przy umierających. Chcą się napawać swoją dobrocią” – twierdził kiedyś Bartoś na antenie TOK FM.

Czy nie jest to zatem dowodem autentycznego cudu, że opuścił wspólnotę Kościoła? Czy poprzez tę postać nie objawia się nam także mądrość Najwyższego, iż pokazuje nam takie marności nad marnościami, jak kolejne wywiady z Bartosiem? Oczywiścieścią jest, że nawet takie mając poglądy na dobro i zło tego świata, z samej Czerskiej się nie wyżyje. Zaczął więc Bartoś angażować się w katastrofę posmoleńską, jak zwykle się nazywać wulkan bredni powielanych przez media mainstreamowe po 10 kwietnia 2010 roku. Chciał np. obśmiać pytania, które pojawiły się po katastrofie. „Idea, że gdzieś trzech żyje, że ocalało, wpisuje się w stary religijny schemat. Wierzą wyznawcy Presleya, że on żyje, gdzieś ukryty w cichym spokojnym miejscu. Wyznawcy Morrisona wierzą, że żyje, też gdzieś daleko, w ciszy na farmie w Australii czy Nowej Zelandii. Niech zbluźnię: wierzą wyznawcy Jezusa, że on żyje, że ukazywał się, żyje też w pięknym miejscu, w domu Ojca”.

Biedny człowiek, aż strach pomyśleć, jak ktoś go strasznie musiał skrzywdzić, że aż takie zalicza światopoglądowe wahania. Cezaremu Michalskiemu (patrz: Michalski Cezary), też „nawróconemu” na salony, tłumaczył na łamach „Krytyki Politycznej”, że „świat duchownych to świat ludzi, których się knebluje, ćwiczonych intensywnie w myśleniu, jak myśleć należy”. A on, Bartoś – „nie chciał dłużej żyć w systemie kościelnej zależności, w którym gubi się poczucie wartości własnego życia” („Wprost”). Bo przecież jest tak, że „u celibatariuszy seksualność pozostaje nierzadko na poziomie nastolatka, bo

nie ma możliwości wyrażania się w osobowej więzi z drugim człowiekiem. Więzi, która dojrzewa w bliskości, czułości, intymności, zaufaniu” („Newsweek”). Więc odszedł „z powodu celibatu i wielu innych kwestii. To znaczy z powodu obserwacji tego, jak funkcjonuje Kościół dziś, no i z tą strukturą, tym sposobem funkcjonowania nie mogę się zgodzić, nie mogę być reprezentantem Kościoła jako duchowny, tych motywacji było wiele różnych, pisałem o tym w książkach, w artykułach” (Radio Zet).

Zaiste, ciekawy przypadek życia w całości podporządkowanego temu, by wytłumaczyć samemu sobie samego siebie, swoje własne dawne decyzje i swoją małą prywatną fobię na punkcie wszystkiego, co kiedyś było święte, a dziś przeraża i paraliżuje. Wygląda to na ślepą uliczkę, ale pan Bartoś znajdzie na nią z pewnością jakieś naukowe wytłumaczenie.

foto. Paweł Skrabka/REPORTER



Fanka idoli

BIEDRZYCKA- -OSICA KAMILA



Od czasu, gdy w 1995 roku udzielała wywiadu RMF FM jako szefowa fan klubu grupy Varius Manx, niewiele się zmieniło. Wciąż jest fanką, tyle że partii rządzącej plus partii lewicowych, które mogą u niej liczyć na dużą dozę wyrozumiałości. Dokładnie odwrotnie niż partie opozycyjne w rodzaju PiS, Solidarnej Polski czy Polski Razem. Zaczynała w TOK FM, potem było RMF i TVN24, a od stycznia 2012 jest sejmową reporterką TVP Info, ma tam także autorski program „Gość Poranka”. „Przez widzów ceniona za profesjonalizm i dociekliwość” – czytamy na jej oficjalnej stronie na Facebooku, ale o tych cechach za chwilę.

Prywatnie lubi z mężem Romanem, znanym dziennikarzem RMF, zaszałeć na Balu Dziennikarzy w odpowiednim towarzystwie. „Dłuższy czas rzecznik Graś bawił się w towarzystwie dziennikarzy

Kamili Biedrzyckiej-Osicy i Romana Osicy. Ich rozmowę przerywał huk ze sceny przy utworach zespołu Perfect. Gdy para dziennikarzy w uścisku kołysała się w rytm muzyki, stojący obok nich Graś kołysał się wraz z nimi” – czytamy w jednej z bardziej wzruszających relacji.

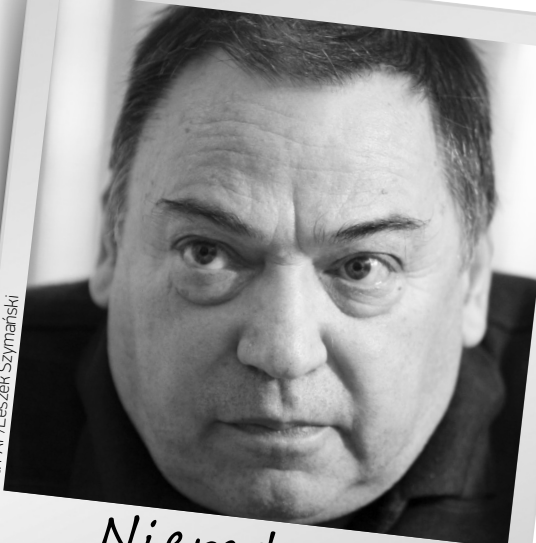
Jeszcze lepsza jest w tworzeniu figur stylistycznych. W sierpniu 2011 roku twierdziła np., że gdy Tusk wyzywał opozycję od tchórzy, „rozwścieczyło” to Jarosława Kaczyńskiego, choć ten przez całe przemówienie uśmiechał się jakby nie dosłyszał. Kiedy chwilę potem Tadeusz Iwiński z SLD punktował premiera celnymi argumentami, nazywała to ironicznie „występem Iwińskiego”. Gdy otrzymywała nominację do MediaTorów w kategorii TORpeda w 2012 roku, przekonywała, że to „wyróżnienie od ludzi, których nie da się oszukać”. To ciekawe, bo przecież to jej właśnie w marcu 2013 minister Radosław Sikorski, ten sam, który przyczyny tragedii w Smoleńsku znał mniej więcej w kwadrans po katastrofie, wciskał powody, dla których rosyjska prokuratura wciąż nie oddała Polsce wraku. „Rosjanie nam powiedzieli, iż boją się, że gdy oddadzą wrak, Macierewicz znajdzie na nim ślady bomby atomowej” – mówił Sikorski, dodając, że powiedział mu to „wysoki rangą rosyjski dyplomata”. Nie zdziwiło jej wtedy nawet tak absurdalne stwierdzenie szefa polskiej dyplomacji, jak to, że wrak tupolewa „dla nas jest teraz bardziej pamiątką niż dowodem w sprawie”.

A przecież jeszcze w listopadzie 2010 roku prowadziła w Kętrzynie warsztaty dziennikarskie pod hasłem „Edukacyjna rola mediów”, na których tłumaczyła, że „dziennikarzom nie wypada ujawniać na wizji swoich politycznych preferencji, bo może to być odebrane przez widzów jako nierzetelność”. I przyznawała, że „sama zna prywatnie wielu polityków, ale nie może to w żaden sposób wpływać na jej pracę”. Jeden z uczestników warsztatów skrupulatnie zanotował, jak wygląda dzień pracy pani redaktor, wtedy jeszcze: w TVN24. „Kilka-naście minut po 7.00 Pani Kamila siedzi już za stołem „Wstajesz i wiesz”, zapowiada, co może wydarzyć się danego dnia w świecie po-

lityki, mówi o konferencjach, planach Premiera czy Prezydenta. Około 8.00 wyjeżdża z redakcji, najczęściej do Sejmu. Tam nie ma już czasu na nic”.

Na koniec spotkania nastały pytania „bardzo różne, niekoniecznie związane z telewizją czy radiem. Pani Kamila, jak sama przyznała, odpowie na każde, bo nie ma nic do ukrycia. Tak też zrobiła” – czytamy w relacji, która, niestety, tutaj właśnie dziwnym trafem się urywa. Pozostaje polować na kolejne okazje, gdy red. Biedrzycka-Osica nie będzie miała nic do ukrycia i odpowie na „każde pytanie”. Na przykład o to, skąd tak dobrze znają się z Pawłem Grasiem?

foto PAP/Leszek Szymański



Nierodzący
dziwak

BLUMSZTAJN SEWERYN



Autor najgłośniejszego transparentu w dziejach polskich Manif spod znaku tęczowej tęczy i różowych boa na męskich szyjach. Kiedy z okazji Dnia Kobiet w 2012 roku wyznał publicznie przy pomocy flamastra i tekturki: „Pierdolę, nie rodzę” (przepraszam, że nie wykropkowałem brzydkiego słowa, ale red. Blumsztajn na pewno by mi nie darował, gdybym ten twardy przekaz próbował rozmiękczyć), wielu łapało się nie tylko za głowy. Bo czy „p...” oznaczało w tym przypadku wulgarnie pojmowaną czynność seksualną, czy może równie wulgarnie nazwanie tego, czym Blumsztajn z kolegami z „Gazety Wyborczej” rzeczywiście parają się dość często? No i co z drugim członem deklaracji, informującym, że manifestujący redaktor nie jest kobietą, a nawet jeśli, to jednak nie w ciąży?

Dziennikarskie śledztwo podjęte przez „Super Express” wykazało ponad wszelką wątpliwość, że Blumsztajn sam tego nie wymyślił.

Mało tego – pełnił jedynie rolę przekaźnika hasła ułożonego na samych szczytach tego niewyobrażalnie wprost płodnego środowiska, jakim jest „Krytyka Polityczna”. „Sam dałem mu ten transparent. To była forma protestu przeciwko wpisaniu kobiet tylko w jedną rolę społeczną” – mówił „SE” szef „KP” Sławomir Sierakowski. Wielka szkoda, że nikt nie wpadł tam jeszcze na założenie frakcji Zawsze Razem albo Zero Radości, bo skrót układałby się wtedy w KPZR, co w kręgach lewicy prehistorycznej mogłoby przysporzyć środowisku „p..., nie rodzących” nowych zwolenników. Inna sprawa, że wystarczająco „p...” oni już sami z siebie, więc Sierakowskiego czy Blumsztajna do tego nie potrzebują.

Ciekawa jest droga tego drugiego od bogatej karty opozycyjnej w PRL (aresztowanie w 1965 roku, dwuletni wyrok więzienia w 1968, współpraca z KOR w 1976, brutalne pobicie przez SB, kolejne aresztowanie w sierpniu 1980, emigracja w stanie wojennym) – do jednego z najważniejszych kiedyś piór „Gazety Wyborczej”, szefa jej działu krakowskiego, potem stołecznego – do 2006 roku, kiedy to zresztą otrzymał z rąk prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. Dwa lata później postanowił zwrócić odznaczenie, gdy głowa państwa skrytykowała część dawnej opozycji. Potraktował to jako zniewagę albo po prostu ktoś „życzliwy” (pełno ich w tym środowisku) zwrócił mu uwagę, że dłużej niż dwa sezony cieszyć się orderem od Kaczyńskiego w pewnych kręgach nie wypada.

A cóż wypada? Umacniać, krzewić, użyźniać, p... i nie rodzić. No, chyba że takie manifesty lipcowe (choć rzecz działa się w listopadzie 2013 roku), jak głośna odezwa Blumsztajna, adresowana, jak łatwo się domyślić, do przyjaciół Rosjan. „Drodzy Koledzy i Przyjaciele, w poniedziałek 11 listopada w czasie nacjonalistycznej manifestacji w Warszawie grupa chuliganów obrzuciła racami teren ambasady Rosji i spaliła budkę strażnika. W środę grupa chuliganów w podobny sposób zaatakowała ambasadę Polski w Moskwie. (...) Powstrzy-

majmy dalszą eskalację nienawiści, zastępując ją pozytywną licytacją życzliwości. Choć nie jesteśmy sprawcami poniedziałkowej napaści na ambasadę Rosji w Warszawie, przepraszamy Was za ten incydent, który został już zdecydowanie potępiony przez władze Polski. (...) To nie Polacy walczą z Rosjanami, a wrogowie wolności z jej obrońcami. W tej walce uważamy Was, Koledzy i Przyjaciele, za sojuszników. Prosimy, byście wy też tak nas traktowali. Tylko wspólnie możemy zatrzymać siejących wrogość ekstremistów”.

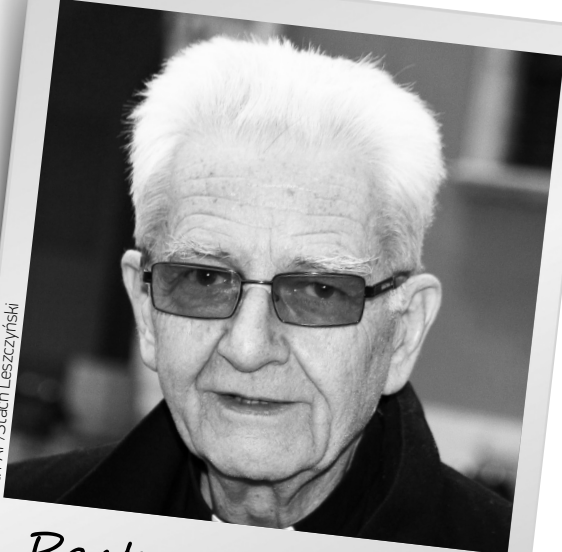
Czy można się dziwić, że i słynny warszawski pomnik „Czterech Śpiących” przedstawiający żołnierzy Armii Czerwonej budzi w red. Blumsztajnie ciepłe, by nie rzec gorące uczucia? „Są świadectwem epoki, świadkami naszej pamięci. Rozumiem, że trzeba było pozbyć się Dzierżyńskiego – to był zbrodniarz, ale czepiać się jakichś smutnych czerwonoarmistów, co stoją już 60 lat? A skąd nasze wnuki będą wiedziały o tym, że Armia Czerwona na Pradze czekała, aż powstanie wygaśnie?” – różnie to, co już wielu przed nim. Jakby chciał, by polskie dzieci dowiadywały się, że w ich kraju ci, którzy czekali, aż wykrwawi się kwiat stolicy, zasługują na pomnik.

W kwestiach ahistorycznych rzucił się także własną piersią chronić jednego z najwybitniejszych w Polsce ludzi współżyjących seksualnie z nieletnimi, czyli Romana Polańskiego. „Najbardziej niestosowne wydają mi się pretensje do urzędników państwa polskiego o interwencję w sprawie reżysera. I pytania, czy o każdego Polaka, który współżył z nieletnią, upomina się polski rząd? Gdzie równość wobec prawa? (...) Odpowiadam. Wszyscy są równi wobec prawa, ale niektórym Pan Bóg dał niezwykły talent i wolę. Tacy są równiejsi”. Orwell dla ubogich.

W marcu 2012 roku założył wspólnie z Jackiem Żakowskim (patrz: Żakowski Jacek) i Wojciechem Maziarskim (patrz: Maziarski Wojciech) Towarzystwo Dziennikarskie. „Wśród dziennikarzy podziały polityczne są właściwie głębsze niż między politykami. Politycy muszą jeszcze ze sobą współpracować, my nie musimy. Ilość pomył

wylewanych na siebie nawzajem jest już nie do zniesienia” – mówił Blumsztajn. Wśród członków założycieli pojawili się także Jan Ordynski, Teresa Torańska, Dorota Warakomska, Wojciech Mazowiecki (patrz: Mazowiecki Wojciech), Cezary Łazarewicz (patrz: Łazarewicz Cezary) i Jacek Rakowiecki, obecny rzecznik TVP. „Zasada jest taka, że bardzo trudno się tam wchodzi. To jest dość zamknięty klub, dlatego stowarzyszenie nazywa się towarzystwem, a nasze zebrania nazywamy salonem” – zdradził Blumsztajn. Słusznie, co się będziecie, panowie, p..., pardon, ograniczać. Zwłaszcza że te wasze nasiadówki naprawdę trudno nazwać inaczej.

fot. PAP/Stach Leszczyński



Pasterz baranów

BONIECKI ADAM ks.



Duchowny z innej epoki, być może zresztą takiej, która, daj Boże, nigdy w Polsce nie nadejdzie. Nowocześniejszy niż Stadion Narodowy, bardziej otwarty niż ramiona ateistów na każdą zawróconą z drogi do nieba duszyczkę. Autorytet wielu środowisk, generał zakonu mariańców w latach 1993–2000, związany z „Tygodnikiem Powszechnym” od 1964 roku, w latach 1999–2011 także jego redaktor naczelny. Piękna karta mediów katolickich, choć zdecydowanie bardziej mediów niż katolickich. Od września 2007 współpracuje też ze stacją Religia.tv należącą do ITI.

We wrześniu 2010 roku w tzw. awanturze o krzyż stał po stronie tych, którym krzyż na Krakowskim Przedmieściu, upamiętniający miejsce posmoleńskich spotkań setek tysięcy Polaków, przeszkadzał. „Jesteśmy w krainie absurdu. Ktoś chce życie oddawać za krzyż

w czasie pokoju!” – irytował się wniebogłosy. Nie pamiętał, że w PRL też wojny nie było, a paru ludzi życie, niestety, za wiarę oddało.

Kiedy wybuchł kolejny skandal i dyskusja o spaleniu oraz nazwaniu Biblii „gównem” przez lidera grupy Behemoth, Adama „Nergala” Darskiego (patrz: Darski Adam), ponownie stawał po stronie przeciwnej niż ludzie wierzący. Czuł się tak wpływowy, że nie przeszkadzał mu nawet fakt, iż kroczy ramię w ramię ze zdeklarowanym satanistą, charczącym na koncertach pochwały dla „morderców świętego Wojciecha”. „Nergal prezentuje pewien satanizm, ale media zrobiły z niego szatana. Nie jest też satanistą, bo musiałby wierzyć w szatana. On się od tego odżegnuje rękami i nogami” – twierdził ks. Boniecki, choć Nergal w tym czasie cieszył się z kolejnych „zwycięstw Szatana” na ławie sądowej, a nową trasę koncertową tytułował „Polish Satanist Tour”. „On nie odprawia mszy, nie zabija dzieci, nie puszcza krwi, tylko odgrywa szatana, który moim zdaniem jest szatanem jasełkowym” – uparcie powtarzał duchowny. Cóż się dziwić, że także postulat zdjęcia krzyża w sali plenarnej Sejmu uznawał za przyczynek do „pożytecznej dyskusji”, a na pytanie Moniki Olejnik z TVN24 (patrz: Olejnik Monika), czy „w Sejmie powinien wisieć krzyż, czy nie?”, twierdził, że „obie odpowiedzi są poprawne”. Jak widać, są duchowni, którym sutanna w rozkroku nie przeszkadza ani trochę.

Wreszcie, w listopadzie 2011 otrzymał od prowincjała nakaz ograniczenia wystąpień publicznych do łamów „Tygodnika Powszechnego”. Podniosła się wielka, medialna wrzawa, rozpętana głównie przez tych, którzy innym księżom (a choćby i z tzw. Kościoła „toruńskiego”) już dawno najchętniej zakneblowaliby usta. Księdzu Bonieckiemu nikt tego szczęśliwie nie uczynił, więc dalej może nas bawić takimi występami, jak podczas Owsiakowego (patrz: Owsiak Jerzy) Przystanku Woodstock w 2013 roku.

„Adam to miły, mądry, spokojny człowiek” – znowu wychwalał „Nergala”. „Kościół zrobił fantastyczną reklamę Nergalowi. Ja też

zdobyłem rozgłos, niezasłużony. Zrobili z Nergala diabła, niemal satanistę (jakby satanista był kimś gorszym niż diabeł – przyp. KF). Wzywali do wojny religijnej z tym rodzajem muzyki. (...) Diabeł zupełnie innymi drzwiami wchodzi niż przez Behemotha” – opowiadał zagubiony pasterz odnalezionego młodzieży.

Zapytany, co chciałby jej podczas tego spotkania zaoferować, odpowiedział szczerze: „Nic nie przyjechałem oferować. Róbta, co chceta!”. Nikt mu chyba nie podpowiedział, że gości na imprezie zorganizowanej przez faceta, który np. w roli Rzecznika Praw Dziecka widziałby aktorkę Dorotę Stalińską. To ta, która twierdziła po „aferze Polańskiego”, że „dziś trzynastolatki same się pchają mężczyznom do łóżka”.

Trudno zatem ostatecznie rozstrzygnąć, czy to ks. Boniecki sam pada ofiarą dezinformacji i antykościelnej krucjaty, czy może jednak częściej dotyka to tych, którym to on opowiada o Bogu i świecie swoje prawdy objawione. Objawione choćby przedziwnym zamięłowaniem do telewizyjnych kamer i wiary w „róbta, co chceta”.



Królowna aborcji

BRATKOWSKA KATARZYNA



Córka Stefana Bratkowskiego (patrz: Bratkowski Stefan) na termin aborcji wybrała Wigilię Bożego Narodzenia 2013 roku. W Polsacie News, podczas dyskusji o ewentualnym zaostrzeniu w Polsce kary za przerwanie ciąży, nagle napadła na posła Jacka Żalka: „Jestem teraz w ciąży i zamierzam ją przerwać. Więc bardzo proszę, żeby pan doniósł na mnie, żeby pan mnie pilnował i rozkazał mi rodzić”. Dodała, że aborcji zamierza dokonać 24 grudnia. Nie przyjęła oferty księdza Grzegorza Kramera z Krakowa, który prosił, by nie usuwała dziecka, a on zrezygnuje z kapłaństwa, by je adoptować. Jak się wkrótce okazało, wcale w ciąży nie była, a jedynie „chciała zwrócić uwagę na problem”.

Trudno uwolnić się od wrażenia, że jej największym problemem pozostaje jednak wciąż ona sama. „Kwestia tego, czy jestem, czy nie

jestem w ciąży w sensie biologicznym i czy ją dosłownie przerwę, czy też nie, jest sprawą drugorzędną” – tłumaczyła swoją aborcyjną „ście-mę” dla rozgłosu. I próbowała odwrócić wszystko na lewą, nomen omen, stronę. „W ludziach jest morze pogardy dla kobiet, ja jestem jego katalizatorem. Gdybym przerwała ciążę i wtedy o tym poinformowała, przeżywała dramat, byłoby OK. Ale kiedy mówię, że to zrobię i nie jest mi z tym źle, nie objawiam skruchy – zaczyna się bagno”.

Już wcześniej, w 2006 roku w jednym z wywiadów opowiadała wnikliwie o swym życiu: „Niestety, żyję niehigienicznie. Siłę dają mi spotkania w grupie kobiet, ale nieorganizacyjne, tylko takie bardziej warsztato-wiedźmiczne”. Zdradzała, jak wygląda zwyczajny dzień niezwykle zajętej sobą feministki: „Czasem czuję się tak przywalona odpowiedzialnością – że śpię nerwicowo do 14.00, a potem usiłuję to odrobić z poczuciem, że jestem ze wszystkim spóźniona. Zero BHP. Sto spraw naraz, czasem już nie wiem, którą załatwiam. (...) Relacje towarzyskie i przyjacielskie pozawalane. I to ciągle poczucie, że gdybym była bardziej pracowita itp. itd. – to mogłabym zrobić więcej. (...) Ogólnie pracuję nad równowagą, tylko nie wiem, czy w tym wcieleniu uda mi się ją osiągnąć” – mówiła przed siedmioma laty. Dziś wiemy już, że się nie udało.

W „poaborcyjnym” wywiadzie udzielonym Robertowi Mazurkowi na łamach „Rzeczpospolitej”, przyznała się do wszystkiego, zwłaszcza do źródeł inspiracji: „Jestem komunistką, bo wierzę, że to najbardziej proludzki, humanitarny ustrój. Komunizm to bardzo pozytywna, równościowa ideologia, a kapitalizm ma więcej ofiar”.

Łatwo się domyślić, że choć wydaje się, iż złamała polskie prawo, głosząc zakazane przez nie pochwały komunizmu, wciąż pozostaje nauczycielką w jednym z warszawskich liceów. Jest też, wspólnie z Kazimierą Szczuką (patrz: Szczuka Kazimiera) i Agnieszką Graff, współzałożycielką Porozumienia Kobiet 8 Marca, które co roku organizuje w polskich miastach lewicowo-genderowo-transhomoseksualne Manify. W 2014 roku w całej Polsce na ulice wyszło w sumie

4,5 tys. osób, co nawet Joanna Senyszyn z SLD uznała za porażkę. Co ciekawe, w czasie gdy Bratkowska namawiała Polki do usuwania ciąży przed pierwszą gwiazdką, jej ojciec polował już na „polskich faszystów”, co potwierdza, że wciąż najciemniej jest pod latarnią. Zwłaszcza tak czerwoną.

fot. PAP/Leszek Szymański

Łowca faszystów

BRATKOWSKI STEFAN



Najzapiekleszy pogromca faszyzmu nad Wisłą, jakiego ziemia ta nosiła od początku XXI wieku. Wieloletni prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, a jednocześnie ojciec chrzestny ponurej i lekceważącej ofiary II wojny światowej narracji, iż największa partia opozycyjna w Polsce to „faszyści”. Przyda się krótka przebieżka przez życiorys. W 1949 roku został członkiem Związku Młodzieży Polskiej. W 1956 roku trafił do (uwaga, bo nie w kij dmuchał taka kariera) komitetu centralnego Związku Młodzieży Socjalistycznej. W PZPR trwał od 1954 roku do 1981, kiedy to wcale, jak tysiące innych, nie rzucił czerwoną legitymacją, ale zwolniono go dyscyplinarnie. Od jesieni 1980 roku, jeszcze jako członek partii, został prezesem SDP, które po wprowadzeniu stanu wojennego stało się stowarzyszeniem nielegalnym. W 1988 wszedł w skład Komitetu Obywatelskiego przy Lechu

Waleś, potem brał udział w pracach Okrągłego Stołu. W 1989 roku wytyczał już wspólnie z kilkorgiem najważniejszych redaktorów słuszny kierunek dla rodzącej się „Gazety Wyborczej”. Tyle suche fakty z przeszłości.

Teraźniejszość oparta jest na tworzeniu portalu Studio Opinii, znanego z bezpardonowych ataków na wszystko, co prawicowe, konserwatywne, nawet katolickie. Kiedy jeden ze stałych tam autorów, Antoni Kopff, ośmielił się skrytykować obecną władzę, red. Bratkowski zaatakował i jego. „Zdumiały mnie i język, i dezynwoltura naszego przyjaciela Antka Kopffa. Epitety w rodzaju «przepływ bezkręgowych robaczków», «nabytki upokorzone hołdowniczymi wystąpieniami pod adresem chlebobawców...» – oraz inne obraźliwe, poniżające inwektywy, sugestie niskich pobudek, budowane z wyższości moralnej Autora, nie są przykładem kompetencji. Nie wiem, czy Autor zauważył, jak Go zniosło aż do stylu i języka PiS” – grzmiał Bratkowski.

Okazało się, że przykładem „poniżających inwektyw i pogardliwych kpín są dla niego „bezkręgowie robaczki”. Nie są zaś nimi stwierdzenia samego Bratkowskiego, że PiS to partia „zorganizowana statutowo na sposób stricte faszystowski”. W 2011 roku (gdy koalicja PO-PSL rządziła już czwarty rok) mówił o Jarosławie Kaczyńskim: „Z dziwną jakoś dokładnością przestrzega on zasady Goebbelsa – powoływać się i korzystać z demokracji, dopóki się nie zdobędzie władzy (...). Władzę wedle tego wodza należy centralizować – dokładnie tak, jak chciał i robił to wódz NSDAP”. A rok później: „13 grudnia będziemy mieli do czynienia z marszem PiS, który organizuje Jarosław Kaczyński bez świadomości, że to próba powtórzenia zamachu stanu gen. Jaruzelskiego. Bo to ma być zamach stanu, tyle że Jarosław Kaczyński nie ma czołgów, nie ma karabinów maszynowych, nie ma tysięcy żołnierzy”.

I znowu rok później, już w 2013: „W swoim czasie uznano moje ostrzeżenia przed faszyzowaniem za przedwczesne i przesadne. Cóż, właśnie o to chodziło, żeby okazało się przedwczesne i przesadne.

Teraz widać, że nie za bardzo się pośpieszyłem. Może to wpływ dziwnej pogody europejskiej dla faszyzowania, z wrogości do obcej kulturowo imigracji. Ale w Polsce nie mamy takiej imigracji. Pogoda dla faszyzowania jest własna”.

Wybitnego publicystę Rafała Ziemkiewicza nazywał więc „Goebbelsem faszystów”, gdy ten związał się z narodowcami, co zresztą nie powinno dziwić, gdyż z odczłowieczania tych, z którymi się nie zgadza, uczynił sobie Bratkowski zajęcie tyleż go krzepiące, co i niszczące resztki dawnej jego legendy. „Pana Boga niewątpliwie zdziwił Kaczyński nauczający z Jasnej Góry. Prezes i ojcowie paulini zakładają, że Pan Bóg nie ma poczucia humoru. Ja sądzę, że ma i dlatego jednak nie wstąpi do PiS, bo to zbyt śmieszne”.

Ja zaś z kolei sądzę, że wystarczy tej skromności. Po prostu – powiedzmy sobie to otwarcie: Bóg nie zapisał się do polskich faszystów tylko dlatego, że czyta Bratkowskiego. I rozumie go, bo jak pisał przy okazji drugiego Stefana miłości śp. Maciej Rybiński, Bóg jest „miłosierny”. Bratkowski być może także, ale głównie dla córki komunistki, która na tatusia pleckach chciała go pozbawić wnuka, którego wcale nie było. Cóż, na szczęście wszystko zostaje w rodzinie. Także nicość.